

# 665 Smutno jak w cyrku

Oświadczę od razu, że ostatnie przedsięwzięcie, to jest — pierwsza w tym sezonie premiera w Lubuskim Teatrze im. Leona Kruczkowskiego, lekko mnie zaszokowało. Ściszej — zaszokowało w pierwszym momencie, gdy wszedłem do sali kameralnej i w pierwszych kilkunastu minutach przedstawienia. Albowiem przygotowany przez lekturę sztuk kilka godzin przed premierą, szedłem do teatru — jak mi się wydawało — na mroczną tragedię, na przedstawienie o uludzie ludzkich nadziei, o niemożliwości wzajemnego porozumienia, o bełkocie, jakim nieskutecznie próbujemy się ze sobą porozumieć... W każdym razie w wyobraźni miałem mroczny obraz.

Tymczasem wszedłem do... cyrku. Bo na kształt cyrku zabudowana została sala kameralna. Na środku arena, widzenie wokół, posadzeni amfiteatralnie. Pod sufitem trapez. Podium dla orkiestry. Teatralni maszyniści odziani w liberie. Wypisz, wymaluj — cyrk. A i program „cyrkowy” — kolory pastelowe, rysunki kłownów, atletów, akrobatów, zaś na „koszulce” programu napis: „najwspanialszy cyrk świata”.

W takich oto okolicznościach scenograficznych pani Krystyna Meissner postanowiła wystawić głośną sztukę laureata Nagrody Nobla Samuela Becketta „Czekając na Godota”. Sztukę, która od stycznia 1953 roku stale wzbudza ogromne zainteresowanie, stale jest grana, weszła chyba na zawsze do kanonu najwybitniejszej literatury dramatycznej XX wieku. Jej, by tak rzec, refrenem: „Chodźmy stąd. — Nie możemy. — Dlaczego? — Czekamy na Godota”. — Stale, w różnorodnych okolicznościach posługujemy się, przywołujemy go, by oświadczyć naszą beznadzieję. Takie nasze słowa — klucze.

Ten nurt współczesnego teatru, literatury dramatycznej, określony zbiorczo „teatrem absurdu” prawie wcale nie był obecny na scenie zielonogórskiej. Powiedzmy szczerze — zastaje nas nieprzygotowanych, oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę pewnej absurdalności świata realnego, w którym żyjemy...

Pisze o twórczości Becketta Alfred Simon: „Jego sztuki to farsy i tragedie zarazem, jego postaci — to udrczeni kłowni. Odziani w stare i niemodne stroje, obciążeni kalectwem, poruszający się w przerażającym „no man's land” czekają na coś, co nie ma imienia. Beckett porzuca te człekokształtne larwy w bezgranicznej pustce, bez śladu miast, wzgórz czy drzew, w przerażającym rezerwacie materii, podobnym pascalskiej nieskończoności, w której tym jaskrawiej ukazuje się nieproporcjonalna małość człowieka. Dwóch więźniów uwiecznionych w anonimowym pejzażu w oczekiwaniu na niejakiego Godota, który się nie pojawia (...). Miejsca i osoby pozabawione indywidualności. Wszystko jest nienazwane z wyjątkiem czasu, naturalnej siły objawiającej się w stanie czystym, beziitosnej jak światło, bez końca i bez początku. (...) Śmierć jest jednocześnie nieunikniona i niemożliwa; człowiek nigdy nie skończy umierać, bowiem narodził się martwy. (...) Rozum skazany jest na klęskę wobec tej niemożności. Tragizm Becketta to tragedia steruowanego umysłu... Tak by się ten dramat wykiadał w warstwie filozoficznej — tragedia steruowanego umysłu. Jak był rzekł kiedyś o „Godocie” Jean Anouilh: „Pascala grany przez kłownów”.

Tragedia. Współczesna tragedia. Dwudziestowieczna tragedia. Chciałbym, aby widzowie na tym spektaklu wiedzieli to, co pisał Jan Błosiński, a z czym się absolutnie zgadzam: „Przeciwnie niż sądzi pospolita opinia, nie sądzę wcale, aby właśnie w dzisiejszych czasach tragedia stawała się coraz to bardziej niemożliwa. Myślę nawet, że jest odwrotnie. Poczucie tragiczności przyszło w wieku XVIII i po romantyzmie znikło niemal zupełnie. Co je przytępiło? Sejentyzm, melloryzm, wiara w postęp. Tymczasem Beckett i Genet są o wiele tragiczniejsi od Ibsena i Czechowa, chociaż nie przestrzegają (zgodnie z Szekspirem) czystości gatunku, która narzucała zbyt wąskie rozumienie pojęcia. Tragiczność nie jest abstrakcyjną ideą, ale doświadczeniem ludzkiego istnienia, danym nam do odczytania i współprzeżycia przez sztukę. Próżno więc przy mierzać późniejsze dzieła do antycznego wzorca, któremu nigdy w zupełności nie odebrzmia... Różne epoki, rozmaici twórcy docierają do niej odmiennie, podkreślając czy odkrywając (czasem na nowo) takie lub inne cechy lub strony zjawiska, posiadającego niemniej swój ośrodek, z reguły wyczuwalny, choć nierzadko mało wyrazisty”.

Krystyna Meissner i scenograf Ryszard Strzembala kazali Vladimirowi (Jacek Piątkowski) i Estragonowi (Andrzej Galla) czekać na pana Godota w cyrku, na najzwyczajszej arenie. Jest to ważne znaczenie, choć nie nowe. W literaturze, a szczególnie chyba w filmie niejednokrotnie poprzez postać mającego rozśmieszać publikę cyrkowego kłowna pokazywano smutek, cierpienie, tragizm ludzkiej egzystencji. Cyrk jako świat. Świat jako cyrk. W przypadku zielonogórskiej realizacji takie umiejscowienie świata przedstawionego pogłębia jego tragizm, tragizm Estragona i Vladimira. Galla i Piątkowski błaznują, mówią do siebie tonem Frica i Koka z „Podwieczorku przy mikrofonie”, biegają po arenie i wdrapują się pod „kopułę”. Bywają momenty, że są niekonsekwentni, „wypadają z roli” (oczywiście, myślę o tych momentach niezamierzonych), bo być kłownem, to rzeczywiście trudne zadanie. I są bezgranicznie smutni. Na premierę jedna pani wybrała się z dzieckiem; i to dziecko chwilami śmiało się do rozpuku, ono jedno, dorośli trwali w martwej ciszy, co nadało temu przedstawieniu dodatkowe znaczenie.

I druga para: Pozzo (Danuta Ambroź) i Lucky (Niko Niakas). Bardzo dobre role Danuta Ambroź jako odrażająca, stary mężczyzna z uporem dążący do nicości, dręczący siebie i innych, śmiesznie władczy i smutno żyjący. Mamy w Zielonej Górze już chyba dwadzieścia lat wspaniałą aktorkę, która — tak to bywa — wedle urzędników od kultury nie zasłużyła na Lubuską Nagrodę Kulturalną, jaką już otrzymali... Zamilezmy. To się chyba da naprawić? Z dużym uznaniem myślę też o prawie niemej roli Niko Niakasa — bardzo zdyscyplinowanej i wielce w spektaklu znaczącej.

Tak więc sumując — smutne do przedstawienie, ów metaforyczny obraz naszego świata — cyrku, zdegradowanych, kalekich ludzi, pełnych złudnej nadziei.

Jednak wolę, gdy Krystyna Meissner wadzi się ze światem robiąc po prostu teatr polityczny. Choć tej ostatniej propozycji — broń Boże nie odrzucam. Myślę, że i takie doświadczenie było potrzebne i temu teatrowi, i tej publiczności, coraz bardziej przywiązującej się do zielonogórskiej sceny.

A na koniec pewne ostrzeżenie. Błędem jest, z czym się spotkałem zaraz po premierze, odczytywanie „Godota” jako karykatury naszego „tu i teraz”, aktualnej sytuacji Polski 1982 roku. Prymitywne to myślenie. Owa tragedia, pokazana przez panią Meissner, ma wymiar o wiele większy.

JAN J. DFBFK

Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. SAMUEL BECKETT: „CZEKAJĄC NA GODOTA” (przekład — Julian Rogoziński. Reżyseria: KRYSZYNA MEISSNER. Scenografia: RYSZARD STRZEMBAŁA. Ruch sceniczny: JULIAN JANOWSKI. Opracowanie graficzne programu (znakomite, gratulacje!): LESZEK HERMANOWICZ. Grają: Andrzej Galla, Jacek Piątkowski, Danuta Ambroź, Niko Niakas, Jerzy Jednak (gościnnie). Premiera na scenie kameralnej — 14 listopada 1982 roku.